

Był festiwal...

I żadne gadanie, że teraz nasze łódzkie inicjatywy będą miały lepiej, będą się rozwijać, nie zmieni tej straty w sukces, bo przecież nie jest oczywiste ani automatyczne to, że pieniądze zaoszczędzone na Transatlantyku zasilą budżety Cinergii, Kamery Akcji czy Festiwalu Mediów, bo przecież lepiej mieć dużą imprezę filmową w Mieście Filmu UNESCO niż jej nie mieć. I nic tego nie zmieni. Z wyjątkiem nowego dużego festiwalu filmowego, który będzie miał „lepsze gwiazdy i ciekawszy program” (niedostatki w tych kwestiach to najczęściej powtarzane zarzuty wobec „produktu” firmowanego przez Jana A.P. Kaczmarka, który przed czterema laty przywędrował do nas z Poznania). Jak jednak te wartości zobiektywizować – jak zmierzyć jakość gwiazd, jak wyznaczyć dostateczną wartość programu? Miejscem na liście najbogatszych show-biznesu, liczbą festiwalowych nagród czy pozycją w box-office? Ile taki festiwal musi kosztować, żeby zaspokoił oczekiwania mieszkańców, tzw. opinii publicznej, władz?

I to, jakie kryteria przyjąć, nie jest wcale prostą sprawą. Miasto, jak sądzę, chciałoby spektakularnego wydarzenia, które przyciągnęłoby tłumy i rozeszło się echem chociaż po Polsce, co zaowocowałoby popularnością i poparciem dla całej łódzkiej polityki kulturalnej (mam jednak wątpliwości, czy film jest skutecznym środkiem do osiągnięcia tych celów). Z kolei odbiorcy kultury chcieliby zapewne niepowtarzalnych przeżyć i ciekawych, wartościowych treści. Takie oczekiwania niełatwo pogodzić, a jeśli nawet, przyjmując teoretycznie, ktoś stworzyłby idealny program, śmiem twierdzić, że nie byłyby to tanie rzeczy. W tym kontekście po raz nie wiadomo który wraca widmo mitycznego festiwalu Camerimage. Ludzie, dajcie wreszcie spokój! Toż to była (i jest) niszowa, branżowa impreza operatorów filmowych, na której dzięki osobistym kontaktom Marka Żydowicza pojawiały się w Łodzi wielkie postacie światowego kina. Uczestniczyli w niej głównie studenci szkół filmowych, a o programie nawet nie ma co wspominać – ograniczał się do projekcji, prezentacji sprzętu filmowego i konferencji prasowych z gwiazdami. Warto za to przypomnieć nieposkromiony apetyt dyrektora festiwalu i zamieszanie, jakie powodował. Choć znów – oczywiście to, że Łódź miała taki festiwal, było niezaprzeczalną wartością.

I co z tego, że chcielibyśmy mieć w Łodzi wielki wspólny festiwal filmowy, skoro nas na to nie stać. Jan A.P. Kaczmarek oceniał budżet Transatlantyku jako żenująco niski (ok. 3 mln zł na jedną edycję) wobec oczekiwań miasta. Podobnie zresztą widział te kwestie Marek Żydowicz, kiedy Camerimage odbywał się w Łodzi. Może tej rangi impreza o ogólnopolskim zasięgu i światowych ambicjach musi kosztować dużo, nieprzyzwoicie dużo. I to jest nasz problem – nawet jeśli decydenci znaleźliby odpowiednią kasę, obawiam się, że wydanie jej z pewnością naraziłoby ich na ostrą krytykę. Spójrzmy na Narodowe Centrum Kultury Filmowej – wielka wizja zderzyła się ze skrzeczącą rzeczywistością. Duże środki, jakie zorganizowało miasto na wyposażenie NCKF i stworzenie trzech wystaw stałych (przy znacznym udziale funduszy unijnych) okazały się daleko niewystarczające. Wygląda na to, że ambitne przedsięwzięcie grzęźnie w bagnie finansowo-politycznych przepychanek, a marzenia w najlepszym razie trzeba będzie znacznie przykroić do możliwości.

I komu to przeszkadzało? Jan A.P. Kaczmarek mógł być irytujący ze swoim wielkopańskim gestem i sposobem bycia światowca, który Łódź traktował protekcjonalnie. Przybył tu, by nauczać, i najwyraźniej zaskoczyła go niewdzięczność „prowincjuszy”, krytykujących poczynania „mistrza”. Nie da się jednak zaprzeczyć, że Transatlantyk z edycji na edycję rozwijał się – dorobił się swojej publiczności, przyciągał gości, miał ambicję przyglądania się współczesnemu światu. Filmy spotkania i dyskusje pomyślane były tak, by nie tylko dostarczyć przeżyć estetycznych, ale także by wzbogacić nasz obraz rzeczywistości. Dyskurs z uczestnikami toczył się na wielu różnych płaszczyznach. Niech mnie ktoś przekona, że nie warto było. Najgorsze, że krytycy przekreślili ten

festiwal a priori, na podstawie zapowiedzi medialnych i informacji z konferencji prasowych. Chodziło przede wszystkim o to, że miasto dało duże pieniądze „obcym”, a „nasi”, także organizatorzy i animatorzy "codziennego" życia kulturalnego, muszą się borykać z brakiem kasy. Czy naprawdę ktoś wierzy, że zniknięcie Transatlantyku to zmieni?

I żeby była jasność: nie twierdę, że Transatlantyk był najlepszym festiwalem na świecie. Jeśli pieniądze wydawano nieracjonalnie (wszystkie edycje zostały rozliczone), jeśli czegoś brakowało programowi, może lepiej było wspólnie z organizatorami popracować nad jakością imprezy niż po prostu rezygnować z wydarzenia o znaczącym potencjale. Co ciekawe, ów brak entuzjazmu dla Transatlantyku nie przeszkadza Łodzi reklamować się jako miasto filmu, korzystając z migawek z Edwardem Nortonem, który był gościem festiwalu w 2017 roku. Pozostaje wiele niejasności: choćby relacje miasta i Jana A.P. Kaczmarka. Nie wiemy, jakie były prawdziwe motywacje jednej i drugiej strony, a przydałaby się transparentność, bo chodzi przecież o publiczne pieniądze.

I co teraz? Zdumiewające, że część środowisk kultury na portalach społecznościowych dała wyraz radości i satysfakcji. Co to się z ludźmi porobiło, że cieszą się z porażki. Bo to porażka nas wszystkich, nie ma się co oszukiwać. Już się boję, że w zamian w najlepszym razie będziemy mieli w Łodzi letni festiwal stand upu. Tylko za milion...

Bogdan Sobieszek